

Zardzewiała korona

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Ryszard III Adama Sroki to przedstawienie bez klucza, starannie unikające jakiegokolwiek interpretacji dzieła Szekspira.

■ Niepozorna metalowa korona na szarym tle. Atrybut monarszej władzy z czasów surowego angielskiego średniowiecza, a nie bałowego przepychu oświeconych władców. Żadnych klejnotów czy innych elementów dekoracyjnych. Sama obręcz z częstokołem spiczastych zębów. Przypomina otwartą paszczę rekina, która za chwilę ściśnie ostre jak noże siekacze. Tylko że chwila ta znacznie się wydłużyła i to, co miało pożerać, samo jest pożerane... przez rdzę. Ale to nie wszystkie możliwe skojarzenia. Przymocowany do obręczy łańcuch zamienia koronę w czekający na beztroską ofiarę potrzask. Symbol władzy staje się całkiem niesymboliczną pułapką na dużą lub małą zwierzynę. Taką wizję plakatu do *Ryszarda III* w Teatrze Polskim we Wrocławiu zrealizowała Renata Krzyżaniak.

Jak się okazało, na tym dwuznaczności i alegorie miały się kończyć. Na tyle definitywnie, że po dwóch godzinach śledzenia tego, co dzieje się na scenie, wraz z głównym bohaterem i z nie mniejszą niż jego rozpaczą, jedynie lekko zmieniając słynną sentencję, chciało się krzyczeć: „Metafora! Królestwo za metaforę!”. *Ryszard III* Adama Sroki to bowiem Szekspir bez klucza. Przedstawienie tak starannie unikające jakiegokolwiek interpretacji dzieła Stratfordczyka, że po jego obejrzeniu karkołomnym zadaniem wydaje się pisanie o tym, co reżyser miał na myśli. Bo w rzeczy samej, co?

Z całą pewnością Adama Sroki nie interesuje historyczny Ryszard, najmłodszy syn Ryszarda Plantageneta, który miał rządzić Anglią niecałe dwa lata i swoją śmiercią w bitwie pod Bosworth zamknąć szczególnie krwawy okres jej dziejów zwany wojną dwóch róż. Gdyby interesował, musiałby od samego początku wejść w ostrą polemikę z Szekspirem, który wielkim poetą był, lecz bezstronnym kronikarzem z pewnością nie. I to od pierwszej niemalże sceny, w której przyszedł władca szykuje morderstwo swego brata Clarence’a, bo czegoś takiego po

prostu nie było. Jednak Sroka nie ma zamiaru niczego kwestionować czy podważać. Starannie i niespiesznie, scena za sceną, podąża za tekstem sztuki. Za wyjątkiem kilku zupełnie drugorzędnych postaci i zbytnio dłużących się monologów, nie wycina z niego prawie nic i nic też do niego nie dopisuje. Zachowuje nawet niektóre inscenizacyjne rozwiązania z didaskaliów. Chociażby te, które każą ulokować wrogie obozy wojenne, teatralnym skrótem zredukowane do dwóch namiotów dowódczych, po przeciwnych stronach sceny. Każę też Ryszardowi i Richmondowi pojedynkować się na miecze. I nieważne, że aktorzy ze stępioną bronią wyglądają nie lepiej niż bawiące się w rycerzy dzieciaki. Nikt sobie nie zrobił krzywdy, i dobrze.

Jeden z możliwych tropów interpretacyjnych podpowiada notka spektaklowa, która niespodziewanie zdradza niejaką sympatię do głównego bohatera. Nie wyzywa go od „plugawych wieprzów”, lecz ostrożnie nazywa „wrażliwym

przygodzie uczuć”. Za mało akcentów egzystencjalnych, wymagających szczególnej delikatności i wrażliwości. Widać to w sposobie, w jaki potraktowano kluczowe pod tym względem sceny. Spotkanie z duszami zabitych ofiar zamieniono w korowód upiorów. Ofiary Ryszarda ciągną się kolejką, rzucają oskarżenia, wypełniają umowny namiot. Odchodząc, wyglądają tak, jakby za chwilę miały zatańczyć kultową choreografię z *Thrillera* Michaela Jacksona. Kiedy po przebudzeniu krwawy tyran wreszcie zaczyna uświadamiać sobie ogrom popełnionych zbrodni, ta niesamowita tragedia rozszczepienia jaźni zostaje potraktowana kolejną porcją nieprzekonujących deklamacji i podobnie nieprzekonującą choreografią podskoków i przewrotów.

Nie wiadomo, dlaczego grany przez Cezarego Morawskiego Ryszard wygląda jak głowa gangu Angielskie Wilki czy może Koronowane Czaszki. Jakby za kulisami czekał na niego harley-davidson, na który wskoczy po przed-

Nie wiadomo, dlaczego grany przez Cezarego Morawskiego Ryszard wygląda jak głowa gangu Angielskie Wilki czy może Koronowane Czaszki. Jakby za kulisami czekał na niego harley-davidson, na który wskoczy po przedstawieniu i, spektakularnie porykując motorem, zniknie za horyzontem.

łotrem”. Zgodnie z zapowiedziami, to historia o „samotności człowieka, który rozpaczliwie chce odnaleźć swoje miejsce w labiryncie czasu”. A więc próba rehabilitacji? Ukazanie Ryszarda jako pilnego ucznia krwawej epoki, ale ucznia jakby mimo woli lub z braku alternatywy? Niestety, nic z tych rzeczy. Może zatem studium przypadku niepohamowanej władzy? Też nie. Za mało psychologizmu w tej, jak określili to twórcy, „pięknej, szekspirowskiej

stawieniu i, spektakularnie porykując motorem, zniknie za horyzontem. W niczym więc nie przypomina potwora i „diabelskiej ropuchy”. Nie ma też przypisywanego mu garbu, i w ogóle na zdrowie i urodę raczej nie narzeka. Być może dlatego, czyli z braku formalnych powodów do sublimacji w spryt i podstęp, nie sprawia wrażenia mistrza politycznych szachów. Zbyt często odnosiłem wrażenie, że wymyśla swoje perfidne plany w chwili ich wypowiedzenia. Dla-

TEATR POLSKI
WE WROCŁAWIU

Ryszard III
Williama Szekspira

tlumaczenie
Maciej Słomczyński
opracowanie tekstu,
reżyseria,
opracowanie
muzyczne
Adam Sroka
scenografia,
kostiumy
Sylvia Kochaniec

premiera
24 listopada 2017

Ewa Dałkowska
[Księżna Yorku],
Cezary Morawski
[Ryszard,
książę Gloucester]



fot. Natalia Dobryszczyńska

tego zdobywszy upragnioną koronę, traci ją z zadziwiającą wręcz prędkością. Kiedy ugodzony mieczem leży skulony na środku sceny, rodzi się pytanie: i po cóż było tyle kombinować, żeby tak marnie skończyć? Tylko że w tym pytaniu więcej jest zwykłego sarkazmu niż refleksji na temat fatum i śmieszności ludzkich planów względem zamiarów boskich.

„Naiwnym dzieckiem jestem w tym złym świecie” – powie o sobie Szekspirowski Ryszard. Reżyserowi niemal w całości udało się pozbawić te słowa ładunku ironii. Naiwność i infantylność w spektaklu są powszechną plagą. Rodzeństwo królowej Elżbiety wygląda i zachowuje się niczym banda przyszcanych nastolatków. Brutalny z wyglądu Buckingham biega za nowym królem, niczym mały chłopiec za mamusią, i upomina się o obiecane mu hrabstwo Hereford. Tymczasem perfidna strategia, dzięki której cały dwór zmuszony jest błagać Ryszarda o objęcie tronu, obraca się w zwykłą farsę, a słowa: „Był mi tak drogi, że muszę zapłakać”, które ten kieruje do uciętej głowy Hastingsa, wywołują jedynie głupawy chichot. Podobną reakcję wzbudza krótkie solo Króla Edwarda, podczas którego Stanisław Melski zdążył przyjąć większość póz z jezuickiego podręcznika retoryki.

Niestety nie najlepiej aktorsko wypadła też żeńska część zespołu. Wykreowanym przez panie postaciom kosmicznie daleko jest do tych średniowiecznych *femme fatale*, które rządziły krajem zza barczystych pleców swych mężów. W błękitną krew żadnej z nich nie da się uwierzyć. Wymiękają niczym wiejskie dziewczuszki od byle pierścionka. Zbyt prostodusznie podążają za literą tekstu, nie próbując doszukiwać się w nim drugiego dna, odcieni i podtekstów, czego przykładem już pierwsza, niesmaczna scena z Lady Anną. Z wdziękiem pracowniczką Biedronki po trzeciej zmianie, kręci się ona po scenie z taczka, na której leżą zwłoki jej męża, jak gdyby szukała miejsca, gdzie ma „rozłożyć” ten szczególny towar.

Intrygujących „światłocieni” znaczeniowych nie zapewnia też ascetyczna, abstrakcyjna i wyestetyzowana scenografia Sylwii Kochaniec. Jej dwoma, i niemalże jedynymi, elementami stały się wielofunkcyjne konstrukcje na kółkach. Wyglądają niczym sklecone z drewnianych bali, wykrzywione na różne strony, klatki. W jednej z nich zamontowany został tron w postaci zwykłego biurowego krzesła i odbiornik radiowy. W drugiej, jeżeli się nie mylę, rzędy próbek. Wystarczył obrót, trochę sztucznego dymu i zamieniają się najpierw w celę,

następnie w statek, którym uwięziony Clarence płynie do Burgundii. Nieznaczne zmiany do przestrzeni gry wnoszą ogromna ściana poplątanych włosów, czy może raczej kolorowych kabelków, które jak gdyby wyslizgnęły się z rozprutego brzucha niewidocznego dla nas serwera. Ta ściana, niczym kotara, oddziela proscenium od reszty. Z lekkim furkotem unosi się i wolno powraca na swoje miejsce, podkreślając jedynie powtarzalność i schematyczność przemieszczeń i ruchów aktorów. Ponadto Sroka, wzięwszy na siebie odpowiedzialność za opracowanie muzyczne, postanowił niemal każdy dramatyczny moment wyrażać głośnym i przenikliwym dźwiękiem, jakby rodem z bollywoodzkich filmów. Taki też wyszedł mu morał, który w całości zawarł w swych ostatnich słowach Buckingham: „Zło się odciska złem, a zdrada zdradą”. Nikt tu więc niczego nie uwspółcześnia i w żaden sposób nie nawiązuje do bieżących wydarzeń. Paradoksalnie jedynym kontekstem pozostaje tylko ten, że tytułową rolę gra sam Cezary Morawski. Z drugiej strony, zrobić trzygodzinny spektakl, żeby udowodnić, że dyrektor teatru jest najlepszym aktorem zespołu, to przedsięwzięcie do prawdziwej godności Szekspirowskiego Ryszarda. ■